Rok VI. 29 Lipca 1934. Nr. 31

DZWONECZEK

Trzy gwiazdy — trzy siostry.

Wiara — to gwiazda przewodnia, co świeci w mrokach żywota. Ona wśród troski codziennej w sercu jak jasność lśni złota. I choćbyś codzień wypijał goryczy i żółci czarę, nic cię nie złamie, dopóki w piersiach masz wiarę.

Nadzieja — gwiazda to druga, dziwne promienie ci wniosła. Życie jak łódka jest krucha, ster — wiara, nadzieja — wiosła. Przejdą cierpienia i smutki, jak mgły się w słońcu rozwieją, jeśli masz wiarę za źródło i naprzód idziesz z nadzieją.

Zaś trzecia gwiazda — to Miłość, wierna dwu pierwszych siostrzyca. W niej czynów wielkich podnieta i czystych uczuć skarbnica. Więc piastuj miłość w swem łonie i kochaj ludzi jak braci, o szczęście innych się staraj, Bóg ci twem własnem zapłaci.

Trzy największe te cnoty: nadzieja, miłość i wiara, z niemi trud każdy rozkoszą i lekka każda ofiara. Bóg je zaszczepił w człowieka, by mu dać szczęście na ziemi. Te trzy siostrzyce byt ludzki przetkały nićmi złotemi.

O, żyjmy wszyscy pobożnie w nadziei, wierze, miłości! Niech każda z gwiazd tych świetlanych do końca świata w nas gości. Niech nikt się życia nie lęka i nie drży przed śmierci marą, bo błogo żyć i umierać z nadzieją, miłością i wiarą.

Wiersz powyższy napisał autor ślicznych obrazków z życia starej Warszawy i w całej Polsce dobrze znany poeta *Artur Oppman*, który podpisywał swoje wiersze tylko literami: *Or-Ot*. Chętnie grywają ułożoną przez niego „Szopkę", a na wieczorkach deklamują jego wiersze patrjotyczne lub religijne. Zapewne i ten, któryśmy tu wydrukowali, przyda się w takim celu naszym młodym czytelnikom.

Ułańskie konie na morzu.

Dajemy dziś w „Dzwoneczku" obrazek, który budzi zaciekawienie i radość. Aparat fotograficzny uchwycił chwilę, gdy w fale morskie zanurzają się zastępy konnicy. Poznajemy, że to wojsko polskie. Istotnie jest to pułk szwoleżerów, chluba naszej kawalerji. Francuska ta nazwa oznacza „lekkokonnych" ułanów i przypomina najświetniejszą kartę w dziejach polskiego żołnierza: sławną po świecie szarżę naszej konnicy w służbie Napoleona na wąwóz w górach hiszpańskich Somosierra. Tam polski szwoleżer na rozkaz wielkiego, lecz cudzej armji wodza, który obiecywał Polsce odzyskać niedawno straconą niepodległość, starał się świat zadziwić czynem wojennym, jakiegoby nikt inny nie dokonał: zdobyciem wąwozu górskiego, który był nie do zdobycia. Tutaj widzimy go z powrotem w służbie własnej ojczyzny, jadącego za przewodem swego narodowego sztandaru, na którym — jak nad hufcami rycerstwa zprzed wieków — świeci Bogarodzica, i gotowego znowu — gdyby go wódz narodu zawołał — rzucić się w odmęt niebezpieczeństw z temsamem co jego przodkowie bohaterstwem — bronić wolności ziemi rodzinnej...

Cóż tedy robi tutaj polski ułan, brnąc konno poprzez fale morskie? Co robi? Wszak to morze jest Bałtykiem polskim u brzegów portu w Gdyni,



która dla Rzeczypospolitej naszej stanowi nietylko okno na cały świat rozwarte szeroko, ale i bramę złotą, która dziś broni naszej stałej wolności i zapewnia nam mocarstwową niepodległość. Na to właśnie, by w całem państwie wszyscy dobrze to zrozumieli, i na to, by świat cały o tem wiedział i wróg pamiętał, urządza się teraz corocznie wielką uroczystość o charakterze propagandowym, a zarazem symbolicznym, jak ten nasz dzisiejszy obrazek.

Tego lata Dzień Morza sprowadził do Gdyni z różnych stron Polski kilkadziesiąt tysięcy młodzieży, która po kazaniu Arcypasterza ziemi pomorskiej, straż trzymającej nad Bałtykiem, złożyła przysięgę na wierność polskiemu morzu, a w tej chwili niebo przysłoniło się białym obłokiem: to wypuszczono tysiące gołębi, które odlatując do domów, miały niejako roznieść wieści o takiej manifestacji po całym lądzie polskim.

Wtedy rozległy się srebrzyste fanfary kawalerzystów ustawionych nad samym brzegiem morskim — zafurkotały proporczyki ułańskie na lancach, ze stu trąb huknęło w niebo „Jeszcze Polska"... i cały oddział szwoleżerów rzucił się w wodę. Jadący przodem chorąży pochylił naraz sztandar z Matką Boską i Orłem Białym, zanurzył go w fale Bałtyku i taki w polskiem morzu skąpany wzniósł w górę. Na brzegu dziesiątki tysięcy rąk klaskały z zapałem nieopisanym. Wzruszenie ogarniało wszystkich na widok kawalerji zagłębiającej się koniom po pas w spienione fale, co biją o okręty w imponującym porcie...

Jakże lat niewiele upłynęło od chwili, gdy zamiast niego były tu jeszcze tylko nędzne wioski rybaków i generał Haller z garstką błękitnych żołnierzy, przejmujących z rąk pruskich Pomorze dla Polski, kazał konnicy wjechać, a sam w fale cisnął symboliczny pierścień wieczystych zaślubin z Bałtykiem.

ZA KRZYŻEM

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ III:

W „numie" Algirdasa.

Bez końca długa zima poczęła zwolna ustępować. Parze sierot polskich zdawało się, iż od czasu, gdy pożegnała rodzinną ziemię i poraz pierwszy



ujrzała bory Litwy, upłynąć musiały chyba dwie, trzy zimy z mrozami tak strasznemi, o jakich w Polsce nawet pojęcia nie miano. Cały kraj stał się jednym lodem. Pozamarzały olbrzymie, jak morza, jeziora, śnieg pokrył wszystko dokoła, nawet powietrze zdawało się, iż zamarzło i kawałkami lodu wciska się do piersi.

W nędznych lepiankach, okrytych mchem i skórami dzikich zwierząt, żyli w tym smutnym kraju ludzie, sami też ponurzy, chmurni, jako to niebo, na którem dzieci prawie nigdy dojrzeć nie mogły słońca. Chodziło ono przez długie miesiące zimy tak niskim kręgiem ponad ziemią, że czarne, nieprzebyte ściany odwiecznych borów zasłaniały je sobą zupełnie. Rodzina, przy której wiodło życie dwoje brańców polskich, mieszkała nie w lepiance, lecz w tak zwanej „numie“, która była właściwie ogromną budą, skleconą z drzewa. Mieściło się w niej pod jednym wspólnym dachem wszystko, co tylko należało do Algirdasa i Ruty. Kilka koni i kilka sztuk bydła, obok niewygasającego nigdy ogniska, dawały ciepło chacie, z której sieroty wybiegały wciąż tęskną myślą do ojczystego kraju.

Źle im tu nie było. Zmarli rodzice widocznie uprosili Boga, by ich dzieci, tak ufne w Jego opiekę, oddał nie komu innemu, jak właśnie temu bezdzietnemu małżeństwu, które uważało już teraz Lubomira i Dobrochnę niemal za własne, straciwszy niegdyś dwoje dziatek rodzonych.

Czyż jednak mogło cokolwiek zatrzeć w sercach dzieci pamięć o rodzicach, tak okrutnie pomordowanych przez tych właśnie, wśród których teraz żyć musiały? Toż przecie nie kto inny, tylko właśnie Algirdas straszliwym toporem zabił ojca, a jego brat Wigand ukochaną matkę. Nie kto inny, jeno ten, który teraz chce, aby go dzieci nazywały ojcem, wypatrzył je tam w ukryciu, związał i ciągnął za sobą na powrozie, nie pozwalając nawet pocałować po raz ostatni zwłok rodzicielskich.

Gdyby nie to, że wszystko działo się w ich oczach i że tak dokładnie pamiętają każda chwilę owego strasznego ranka, nigdyby wierzyć nie mogły, że Algirdas i morderca ich najdroższego rodzica, to jeden i tensam człowiek. Po niezliczone razy w swych cichych rozmowach zapytywały siebie wzajemnie, dlaczego wówczas był tak okrutnym, kiedy teraz dla nich jest dobry i łagodny, i nie umiały sobie na to odpowiedzieć.

Po całych tygodniach polował on z bratem i sąsiadami w puszczy na wszelaką zwierzynę, której w borach była moc nieprzebrana. Z takich wy-

praw myśliwskich przywożono do domu mnóstwo futer niedźwiedzi, lisów, wilków, rysiów, zajęcy, kun, wiewiórek i innych zwierząt. Skóry te później sprzedawano kupcom przejezdnym lub wywożono daleko.

Dzieciom nieraz przychodziło na myśl, by w taki czas, gdy w domu pozostawała sama Ruta z nieliczną służbą, którą stanowili również brańcy wojenni, pojmani w dawniejszych jeszcze wyprawach, uciec potajemnie z „numy“ i puścić się w świat daleki, gdzie na krańcach, za rzekami, za lasami, leży ich kraj rodzinny, gdzie pozostały zgliszcza ich chaty.

(*Ciąg dalszy nastąpi*). *Ela Oleska.*

Lekceważony wróg człowieka.

(Dokończenie)

Każdy zna ślady, jakie po sobie zostawia mucha, łatwo je dojrzeć na czemś jasnem. Nikt jednak nie przypatruje się zbyt dokładnie najrozmaitszym rodzajom pożywienia które leżało pewien czas odkryte, wystawione na wszelkie szkodliwe wpływy zewnętrzne. Ktoby się właśnie temu przypatrzył uważnie, dostrzegłby z pewnością w wielu wypadkach owe znane czarne punkciki, gdyby zaś mógł je zbadać przez mikroskop, przekonałby się, że zawierają nieprzeliczone mnóstwo bakteryj, które wydzieliły się z żołądka muchy. Ale zrobili to dawno uczeni bakterjologowie.

Dowiedli oni na podstawie swoich badań, że takie pozostałości much zawierają miljony bakteryj najrozmaitszych chorób, jak gruźlica czyli suchoty, jak tyfus, cholera i czerwonka, a nawet trąd, co przecież jest zupełnie zrozumiałe, skoro muchy siadają wszędzie, a więc i na rany ropiejące, i na plwocinę ludzką, i na kał i wszelkie nieczystości, na wszystko co gnije. Łatwo sobie tedy wyobrazić, że gdy się zje pożywienie, na którem mucha zostawiła zarazki wciągnięte do swego organizmu np. z plwocin suchotnika lub wydzielin chorego na tyfus czy biegunkę, wprowadza się je również w swój własny organizm, gdzie znajdują one dogodne warunki do rozwoju. A ileż razy słyszymy, że ukąszenie muchy było przyczyną odjęcia komuś ręki czy nogi, nieraz powodem aż śmierci! Widocznie jad, jaki pozostawia mucha we krwi człowieka, był tak silny, że ją zakaził, przez co powstała gangrena, a na takie zakażenie krwi najczęściej już niema ratunku.

Sądzono dawniej, że tyfus pochodzi z nieczystej wody, jak istotnie bywa w wielu wypadkach, tymczasem dowiedziono, że najgroźniejszą roznosicielką tej ciężkiej choroby jest mucha. Również i krwawa biegunka czyli czerwonka, która tak liczne zabiera ofiary między dziećmi, rozszerzaną bywa najwięcej przez muchy w taki właśnie sposób, jak tośmy powiedzieli. Dobrze, że u nas niema strasznej choroby, panującej w Afryce, mianowicie nieuleczalnej „śpiączki”, której przyczyną jest zawsze tylko ukąszenie muchy tse tse. Wystarczą jednak te szkody, jakie nasze domowe muchy wyrządzają roznoszeniem chorób zakaźnych, by się przed niemi chronić wszelkiemi siłami, a przedewszystkiem baczyć, żeby nie miały dostępu do naszego pożywienia, o co właśnie tak mało się dba, zwłaszcza na wsi, nie osłaniając przed niemi środków żywności.

Gdyby nie to, że niektóre ptaki nasze karmią się właśnie owadami i dzięki nim tyle ginie much, stałyby się one dla ludzi plagą potworną. Pamiętajmy bowiem, że jest to owad, który się rozmnaża w sposób nieprawdopodobnie szybki. Mucha rodzi się z jajek, których samica znosi 150, a potrzebuje 11 dni do wylęgu. Napozór nie wydaje się to tak przerażające, ale posłuchajmy, co wyliczyli uczeni badacze. Otóż ta samica, jedna niewinna mucha, na którą wcale uwagi nie zwracamy, może w ciągu pięciu i pół miesiąca naszej pory wiosennej i letniej dać początek dziewięciu pokoleniom, które rozmnożą się w takie masy much, że cyfry ich przypomną nam jedynie obliczenia astronomiczne, od których w głowie się kręci.

A więc pierwsze pokolenie składa się z dwu much, drugie liczy już 120, trzecie 7200, czwarte 432000, piąte 26 miljonów, szóste półtora miljarda, siódme 94 biljony, ósme pięć i pół tryljonów, a dziewiąte 336 tryljonów! Oczywiście do tego doszłoby wtedy tylko, gdyby nic nie przeszkadzało muchom się rozmnażać, ale na nasze szczęście część ich ginie od rozmaitej zarazy, inne wyniszczą ptaki, zwierzęta. Mimo to jeszcze ich tyle się z tego ocali zwykle, że należy dobrze się pilnować przed niebezpieczeństwem, jakie grozi człowiekowi od tego tak lekceważonego wroga. (Kto nie pamięta ze szkoły, jak się pisze tryljon, temu nie zaszkodzi przypomnieć: jedynka z 18 zerami).